



Biuletyn

Roku Czocharalskiego

Wrocław

2 lutego 2016 r.

rok V, numer 6/146

Mój żywot i moje zwierzenia (II)

Szkoła była dla mnie niszcycielką marzeń. Uczenie się na pamięć czytanek wywoływało po prostu we mnie wstręt. Szczególnie to, by umieć powtórzyć treść danej czytanki. Gdyby to jeszcze były wiersze, które przyswaja się łatwo, bo napływają one same do sieci pamięci. Ale bakalarze byli innego zdania. Zmusił mnie któryś z nich do dosłownego powtarzania czytanki z pamięci, to nauczyłem się bardzo płynnie początku. Po takim występie zazwyczaj resztę mi darowano. Biada, gdyby potrzeba było jeszcze kilka zdań... Byłbym odpadł z kretelem. Ale młodzieńcza łobuzerska dufność w siebie mnie ratowała.

Fizyka, chemia, rysunki, przyroda - owszem. Religia i historia - w miarę dramatyczności wydarzeń. Byleby nie flaki w oleju.

Budując na ryzykanctwie nie odrabiałem zadań szkolnych w domu, lecz wsłuchiwałem się uważnie w pytania nauczycieli i odpowiedzi kolegów, zapoznając się zazwyczaj w ten sposób, dopiero podczas lekcji, z treścią zadań. Gorzej, gdy brano mnie na pierwszy ogień. Wtedy dwója była pewna.

Prymusi nie imponowali mi wcale. Stroniłem po prostu od nich. Byli zawsze impertynentni i zarozumiali. Przeważnie też podstępni i nieszczerzy. Nie podpowiadali nigdy. A nawet przed lekcją nie zdradzali się ze swoich uprzywilejowanych zdolności „ciężkiego” okuwania się. Wiadomości zdobyte uważali za nadzwyczajny atut, czego nie należało „broń Boże” zdradzać nikomu. To, że mieli piękne świadectwa, szczerze mówiąc lepsze od moich, zazdrości mojej nie wywoływało.

Nie wynika z tego, abym dziś potępiał gruntowną naukę. Stanowi ona w późniejszym wieku cudowne ułatwienie pracy. Oszczędza źródłowych poszukiwań i dochodzeń. Praca idzie składniej i płynniej. Jednak iskry Bożej i gruntowność zastąpić nie może. Szekspir nie uczył się ani gruntownie, ani na pamięć, a jednak jest Szekspirem. Nie należy jednak chcieć przykład tu podany po prostu odwrócić. Zasada ta byłaby błędna – „quod licet Jovis, non licet bovis”¹.

Ukończyłem szkołę przy zwykłym seminarium nauczycielskim. Dwóch moich braci było absolwentami tegoż seminarium. Dzięki ich pomocy zdobyłem jako taką pierwszą ogładę. Prowadziłem doświadczenia na równi z nimi. Przed wszystkim zaś buszowałem po książkach, które mi udostępniali.

Kiedy nauczyciel mówił o budowie kłosa, myślałem nad tym, dlaczego korzonek tej, jak każdej, rośliny rośnie w dół, a pęd wspina się w górę? Lub nad tym, gdzie znajduje się miejsce nadające indywidualny kształt danej roślinie? Albo nad tym, że byt roślin jest

¹ popularne powiedzenie Rzymian ukazujące dwoistość standardów: co wolno Zeusowi/Jupiterowi, nie wolno krowie; przyp. PETom.

w przyrodzie fenomenem o cechach pierwiastkowych. Że jest on, jak i u zwierząt, takim samym zjawiskiem jak egzystencja pierwiastków chemicznych. Że życia ani przybywa w przyrodzie, ani ubywa. Że jest ono [...] składnikiem całości uniwersum. Że tylko rodzajowo ulega zmianom. Liczyłem wtedy może 12-13 lat...

Kiedy nauczyciel uczył gramatyki dziwiłem się, dlaczego nic z tego rozumieć nie było można. Dziś wiem, że było trzeba do tego zdolnego bakałarza, a nie 20-letniego kandydata, który, tak jak uczniowie, nie znał dostatecznie języka niemieckiego, aby swobodnie eksplikować. Nauczyciele nie byli pedagogicznie przygotowani, nawet w najskromniejszym zakresie. Szkoły tego rodzaju tylko przy wytrawnej pomocy starszych i doświadczonych pedagogów, mogłyby osiągnąć swój cel. A tak poziom ich jest za zwyczaj niższy od poziomu wiejskich szkół ludowych, które zazwyczaj rozporządzają przynajmniej jedną starszą doświadczoną siłą fachową!

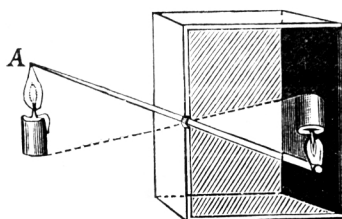
Dawniej to też się zdarzało. W pierwszym okresie, kiedy jeszcze Matka moja uczęszczała do tej uczelni, główna praca nauczania przypadła na dwuprzedmiotowych belfrów. Były tam wspaniałe i niezapomniane nazwiska jak Pril czy Kukułka - Polacy, którzy w ciężkich warunkach z narażeniem własnej osoby nieśli pomoc polskiej młodzieży. Wtedy nauczano jeszcze przeważnie w języku polskim. Za moich czasów już tylko pacierz i religia zachowały się, i to tylko w najniższej klasie. Za używanie języka polskiego podczas przerw wymierzano kary fizyczne. Odwdzięczaliśmy się za to nieraz kamieniem zza bramy.

W ogóle ta szkoła! Gdzie tu zacząć, aby nie nudzić czytelnika. Z uczelni tej, wszystko razem biorąc, wyszedłem literalnie nieokrzesany jak wół. Jeśli coś wiedziałem, to li tylko dzięki pomocy rodziców i braci.

Ojciec mój miał doskonale rozwinięty zmysł praktyczny. Wziął mnie pewnego dnia do obliczeń drzewa i szkła. Próba wypadła fatalnie. Zbojałem² się o kilka rzędów wielkości. Dał mi wówczas nadzwyczajną lekcję. Kazał mi bowiem na podłodze kredą odpowiednio powierzchniowo geometrycznie odnosić względem siebie. Zawstydzony kapitulowałem. Od tego czasu rachunek orientacyjny przeszedł mi w krew. Miałem z tego później duże korzyści.

W nauce przyrodniczej, w biologii, fizyce, optyce, chemii zdobywałem w skromnym zakresie nawet pochwały.

Marzyłem o aparacie fotograficznym. Jednego dnia w mojej mansardzie „camera obscura”, wprawdzie bezsoczewkowa, stanęła jako dzieło mojej ręki. Statyw oczywiście, duże skrzyneczki rozsuwające się, brzeg uszczelniony aksamitem, czarno matowo lakierowane. Płytę fotograficzną wkładano przedtem do środka. Jaką płytę? Płytę żelatynową mojej roboty. Wywoływacz przeze mnie spreparowany. Utrwalacz, kopiarka i papier do kopiowania. Zdjęcie z okienka mansardy udało się. Płyta była lepsza od papieru. Nie były to dzieła sztuki nadające się na wystawę – ale koni było mnóstwo na obrazku. Pod oknami bowiem odbywał się właśnie tego dnia „Jarmark” koni. Zdjęcie było niby z lotu ptaka. Zdumiewała mnie wąskość łba i szyi, i przody tych dumnych stworzeń w stosunku do tułowia.



² pomyliłem się

Dużo, dużo zabiegów uświęciło ten, w moim mniemaniu nadzwyczajny, wyczyn. W moim podręczniku „Weber Lehrbuch der Physik”³ napisane było: płucać w płynącej wodzie. Więc operacje odbywały się w źródleku za miastem. Wzruszała mnie zawsze pewna czytanka o Kannitverstanie⁴ nie przeczuwając, że to właśnie ja byłem takim „Kannitverstanem”.

I jeszcze luneta - aby być Kopernikiem lub co najmniej Keplerem. Luneta się znalazła i łąziłem z nią jak kura z zdobytym kawałkiem mięsa, a kury towarzyszyły mi pędem za mną. Nie było się można ich pozbyć. A mnie zależało na spokojnej „uczonyj” obserwacji. Skąd lunetę nabyłem, nie pamiętam. Kosztowała mnie coś ponad pół talara. A to było dużo pieniędzy. Sporo bułek z mego śniadania musiałem tanio w szkole odsprzedać, aby te grosze zgromadzić. Prawdopodobnie któryś z kolegów „buchnął” ją swemu ojcu. Była jednak warta z pięć razy tyle.

Pamiętam, pewnej nocy obserwowałem niebo aż do świtu. W pewnej chwili zaczęły mi się w oczach wszystkie gwiazdy kręcić i dwoić. Wrażenie było piorunujące. Stałem pod wrażeniem Katastrofy Kosmicznej. Uspokoilem się dopiero gdy zawrót głowy ustąpił.

Niewiele tam zresztą widziałem. Półsierp Wenus wydawał mi się piękną zabaweczką, pyłkowej wielkości księżyc Jowisza, delikatne [...] koronki wzgórz księżycowych, może i mgławice Oriona. Coś tam wyczytałem z niemieckiego „Realbuchu”.

Wszystko to fikało w mojej głowie koziołki. [...] Zaczęłem konstruować [...] planetarium⁵... Począłem myśleć nad fazami Księżyca, aż się wreszcie porządku [...]. Jako wzór posłużyła mi karuzela...



W środku karuzeli wielka, ze wszechstron widoczna, lampa łukowa. To słońce stojące w jednym niezmiennym punkcie. Obserwator zasiada do kołowrotka. Kołowrotek to nasza planeta. Ma on oś pochyłą. Podłoga kołowrotka w miarę obrotu podnosi się i opada - to deklinacja Ziemi. Przegrodzony jest pionową ścianką. To granica nocy i dnia. Na jeden obieg karuzeli przypada 365 obrotów kołowrotka (365 dób = 1 rok). Kołowrotek okrąży lampę kloszową przy danej deklinacji. Jeden obieg na 28 obrotów kołowrotka – to miesiąc księżycowy.

Karuzela rusza. Widzimy dzienny wschód i zachód Słońca. Wschód i zachód Księżyca; po 14 obrotach kołowrotka pełnia i kulminacja wysokości; po dalszych 14 - nów. To miesiąc jak wyżej. 12 zmian Księżyca - to rok. Kulminacja wysokości Słońca to lato, odwrotnie obniżenia to zima. Można zainstalować i resztę planet do tej wesołej i taniej jazdy w przestworza. W tej chwili słyszę głos nauczyciela: [tu urywa się tekst rękopisu]

opr. P.E. Tomaszewski, Wrocław, listopad 2013 r.

Paweł Tomaszewski
INTiBS PAN

³ popularny podręcznik: Ernst Fock, Karl Weber - *Lehrbuch der Physik für Gymnasien*; przyp. PETom.

⁴ „bohater” opowiadania Johanna Petera Hebela (1760-1826) pt. *Kannitverstan* (z 1808 r.); angielskie tłumaczenie utworu jest dostępne w internecie na stronie <http://pl.scribd.com/doc/105591667/Kannitverstan>; przyp. PETom.

⁵ właściwie: tellurium; przyp. PETom.